

Dorota Górczyńska-
Bacik i Remigiusz
Juśkiewicz
na Międzynarodowym
Festiwalu
Monospektakli
MonoWschód

w Wilnie



Wilno, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz (*Wielka Brytania*)

„Najważniejszy jest aktor!” – pod takim hasłem został oficjalnie otwarty i zamknięty 6. Międzynarodowy Festiwal Monospektakli MonoWschód, który odbywał się od 26 października do 30 października 2022 roku na Litwie. Spektakle prezentowane były przede wszystkim w Wilnie, ale także w Trokach i Rudominie. Z tej okazji, podobnie jak w ubiegłych latach, wschodnich sąsiadów Polski odwiedziła, mieszkająca na co dzień w Wielkiej Brytanii, Dorota Górczyńska-Bacik (aktorka, poetka, malarka, dyrektor polonijnego *Teatru Katharsis*) wraz z Remigiuszem Juśkiewiczem (muzykiem,

wokalistą i kompozytorem, autorem audycji muzyczno-kulturalnej *Remiza* oraz laureatem 3. nagrody Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Sanremo Senior '22).



Festiwal Monospektakli w Wilnie, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Artyści zaprezentowali program pt. *Nie-dopasowana do dźwięków*, inspirowany tytułem najnowszego tomiku Doroty. Publiczność zachwyciła się ich występem, którym zabrali widzów w świat poezji i muzyki. Z całą pewnością wrócą więc do Wilna za rok. Poetka, choć wystąpiła w duecie, z całą pewnością swoją aktorską interpretacją własnych utworów lirycznych wpisała się w królujący na festiwalu monodram, dający niepowtarzalną okazję do zaprezentowania pełnego wachlarza jej umiejętności. Jest to tzw. „solo estradowe” - gatunek trudny i wymagający, ale jednocześnie przynoszący szczególną satysfakcję. Prezentacja Doroty i Remiego stanowiła jeden z najbardziej muzycznych

spektakli zaprezentowanych tego roku, obok *Być jak Charlie Chaplin* w wyk. Mateusza Deskiewicza (solisty Teatru Muzycznego w Gdyni). Warto podkreślić, że śpiewu było znacznie więcej m.in. za sprawą Stanley'a Łopuszyńskiego i Doroty Sacewicz, którzy prowadzili wieczorny program pt. *Pieśń, Kabaret, Recital*.

- *Wilno, kochane Wilno!* - mówi Dorota Górczyńska-Bacik zapytana o emocje, jakie towarzyszyły jej w tym roku, dodając - *Trudno w kilku zdaniach powiedzieć o tym, wszystkim czego za każdym razem doświadczam podczas Festiwalu. Mogłabym opowiadać godzinami. Jestem szczęśliwa, że mogę być częścią tego przedsięwzięcia, a od pewnego czasu towarzyszy mi też mój serdeczny przyjaciel i muzyk, Remi Juśkiewicz.*

- *Mamy już w stolicy Litwy swoją publiczność. Pamiętają nasze piosenki sprzed roku, śpiewają z nami również te nowe. Czego tu chcieć więcej?* - żartuje Remi Juśkiewicz, jednocześnie podkreślając - *Dla mnie ważne były, poza doznaniem artystycznymi, warsztaty multimedialne, które mogą pomóc mi w rozwijaniu audycji „Remiza”.*



Wilno, Ostra Brama, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Program tegorocznego festiwalu był niezwykle bogaty: spektakle, recitale, warsztaty teatralne, spotkania z artystami i twórcami, którzy przyjechali z kilku krajów europejskich: Anglii, Litwy, Niemiec, Polski, Szkocji i Ukrainy.

- Celem projektu jest stworzenie aktorowi szansy spotkania sam na sam z widzem, by się mógł dla nich otworzyć, podzielić się swoimi przeżyciami, problemami i krytycznym spojrzeniem na coraz trudniejszą rzeczywistość. Tym samym widz ma szansę

na odróżnienie dobra od zła – mówi Lila Kiejzik, dyrektorka Polskiego Teatru „Studio” w Wilnie i tegorocznego Festiwalu MonoWschód.

Organizatorem wydarzenia był Polski Teatr „Studio” w Wilnie przy wsparciu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, a finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów RP w ramach konkursu „Polonia i Polacy za Granicą 2022”. Odbywał się on pod patronatem honorowym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego.

<https://kuchniawolosiewicz.blogspot.com/>

Artykuł publikowany był w „Kulturze” i „Polonia24”.

*

Zobacz też:

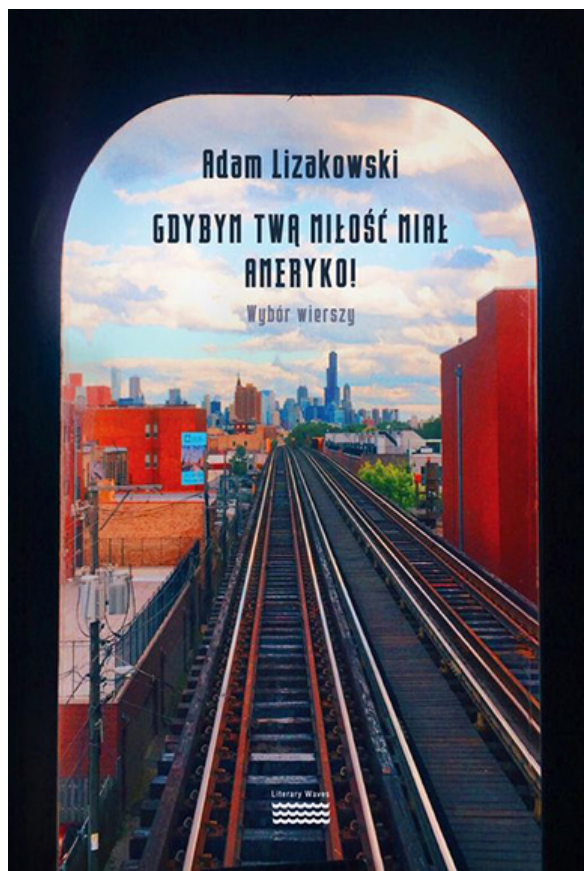
„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Spotkania z poezją – projekt literacki Doroty Górczyńskiej-

Bacik z Dunstable, UK

Gdybym twą miłość
miał Ameryko!

Pochwała dla wyobraźni czerpiącej „z pnia lipy
czarnoleskiej”



*

Teresa Tomsia (*Poznań*)

Poeta powinien być psem

który wkłada nos do śmietnika ulicznego

wącha róże w cesarskim ogrodzie

szczeka i wyje do księżyca

nawet jeśli ten nie zwraca

na niego uwagi

(Adam Lizakowski „Poeta”).

*

*

Adam Lizakowski pisze o codzienności emigranta w tomiku *Gdybym twą miłość miał Ameryko!* (Literary Waves Publishing, red. Anna Maria Mickiewicz, Londyn 2022) jako krytyczny obserwator rzeczywistości, a jednocześnie uczestnik każdej godziny przetrwania na obczyźnie. Jego spojrzenie jest krytyczne, ukazuje brzydotę i paradoksy losu emigrantów, ale też jest pełne współodczuwania dla ludzkich wyborów, słabości, utraconych nadziei:

Panie spójrz

czy widzisz upadłych aniołów

idą owinięci w brudne koce

stoją w kolejce/ za łykiem gorącej kawy

kęsem chleba.

Na okładce tomiku widnieje cytata z listu Czesława Miłosza do poety: „jednak opłaca się pisać prawdę, czy też starać się pisać prawdę, i to właśnie Pan robi, wbrew przyjętym opiniom, że poezja to co innego niż pisanie prawdy”.

Ponad trzydzieści lat poeta żył i działał twórczo w USA, a po powrocie w 2016 roku zamieszkał w Świdnicy, od dekady jego wiersze i wspomnienia pojawiają się też na polskim rynku czytelnictwa (*Dziennik pieszycy*, 2016, *Jak zdobyto Dzikie Zachód*, 2017). Urodził się w Wigiliu w Dzierżoniowie w 1956 roku. Mieszkał w Pieszycach i pracował w Zakładowym Domu Kultury „Prządka” na stanowisku instruktora teatralnego. W grudniu 1981 roku, gdy w Polsce komuniści wprowadzili stan wojenny, przebywał w Austrii, gdzie otrzymał azyl polityczny w marcu 1982 roku, a w czerwcu zdecydował się na emigrację do USA. Losy emigrantów to jeden z głównych wątków jego twórczości. Tłumaczył poezję Boba Dylana, Williama Carlosa Williamsa, Louise Glück, Carla Sandburga, Allena Ginsberga, Walta Whitmana. Był redaktorem naczelnym miesięcznika „Razem” wydawanego w San Francisco oraz wydawcą kwartalnika „Dwa Końce Języka” w Chicago, korespondował z pisarzami na emigracji: Czesławem Miłoszem, Jerzym Giedroyciem, Adamem Zagajewskim, Maciejem Niemcem. Przez

wiele lat publikował w paryskiej „Kulturze” i nowojorskim „Przeglądzie Polskim”, ukazywał realia emigracyjnej egzystencji krytycznie, nie ukrywając własnych i cudzych słabości, motywów postępowania, negatywnych postaw, skomplikowania losów:

Gdybym twą miłość miał Ameryko,

ptaku złotopióry, codziennie o wschodzie

słońca śpiewałbym pieśń ludzi żyjących,

gdybym twe serce czuł gorące,

gdyby twa miłość była mą inspiracją

śpiewałbym tobie i o tobie, Ameryko,

wysoko, wysoko pod sam czubek Sears Tower

byłbym twoją miłością i pachniał dolarem,

przemierzał twe kaniony ulic,

prerie bogatych przedmieść,

wołałbym jesteś jedyna, jak jedno jest życie,

jak jedno stworzenie świata,

jedna Jerozolima, jeden Bóg, jedna Wisła,

gdybym twą miłość miał Ameryko,

gdyby twej miłości najmniejszy blask

na me serce padł, rozgrzał je,

gdybym chociaż raz jeden, jedyny raz

znalazł twe piórko, Ameryko, ptaku złotopióry

(...)

język mój byłby nie mieczem ani piórem,

ale grubym pniem lipy czarnoleskiej,

gdybym twą miłość miał Ameryko!!!

Adam Lizakowski w wielu wierszach zwraca uwagę czytelnika na

problem przemijania w poczuciu bezsensu i na to, jak ważne jest w życiu człowieka odczuwanie czasu oraz świadomość, czemu i komu służy swoim życiem. Autor pyta, jak wielką cenę płacić trzeba za materialny status emigranta, za niespełnienia, niepokoje o przyszłość. Czasem liryczne zamyślenia dają ukojenie, tak jak w *Chicagowskiej kołysance* z 1998 roku, gdy beznadziejną egzystencję – choć na chwilę tylko – przesłania piękno otaczającego świata:

(...) jednak oplaca się pisać prawdę czy też stracić się pisać prawdę, i to właśnie Pan robi, wbrew przyjętym opiniom, że „poezja” to coś innego niż pisanie prawdy (...)

Czesław Miłosz
list prywatny do Adama Lizakowskiego 1987 rok

.....



Adam Lizakowski – polsko-amerykański poeta, prozaik, tłumacz poezji amerykańskiej. Debiutował w warszawskim „Tygodniku Kulturalnym” w 1980 roku, autor ponad tuzina książek poetyckich. W latach 1981-2016 przebywał poza granicami kraju w USA. Tłumacz poezji m.in. takich twórców jak: Bob Dylan, Williams Carlos Williams, Louise Glück, Carl Sanburg, Langston Hughes, Allen Ginsberg oraz Walt Whitman. Także z angielskiego przełożył ponad 50 wierszy chińskiego filozofa i poety Lao Tse oraz wiele wierszy perskiego poety z XII w. Rumiego. Związany z poetyckim ruchem w San Francisco i Chicago. Był wydawcą kwartalnika „Dwa Korice Języka” w Chicago oraz redaktorem naczelnym miesięcznika „Razem” wydawanego w San Francisco. Przez wiele lat publikował wiersze w paryskiej „Kulturze” i nowojorskim „Przeglądzie Polskim”. Laureat Międzynarodowego Konkursu pt. „Zachodnie losy Polaków” im. gen. Stanisława Maczka (1996). Laureat Międzynarodowej Nagrody Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich (Canada, 2000). Laureat Nagrody Polskiego Komitetu ds. UNESCO, Ministra Kultury (2008). Odznaczony Medalem Gloria Artis i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w popularyzowaniu polskiej kultury i literatury, oraz za osiągnięcia w pracy twórczej, przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Studiował dziennikarstwo na City College of San Francisco i UC Berkeley. Na Columbia College Chicago uzyskał tytuł Bachelor of Arts. Studnia ukończył z wyróżnieniem Cum Laude. Tytuł magistra (Master of Arts) otrzymał na Northwestern University w Evanston. Współpracuje online z literackim e-Dwutygodnik Literacko-Artystyczny, pisarze.pl oraz miesięcznikiem „Helikopter” z Ośrodkiem Postaw Twórczych we Wrocławiu.

Cena 27,95 zł

Literary Waves

Wody jeziora Michigan kołysankę nucą,

ćwicząc glos na brzegu z kamieniami w ustach

z takim triumfem w głosie,

jakby nikt inny śpiewać nie umiał.

(...)

Noc przechadza się ulicą Fullerton

jak czarna dama we włosy wpięła księżyc złoty

kolia diamentów gwiazdami błyszczą,

biedak co liczył swe zyski nad biedą westchnął

bądź przeklęta godzino

w której otrzymałem paszport.

Poeta pochyla się nad losem emigrantów, którzy swoim trudem co dnia tworzą dobro Ameryki i przyczyniają się do mitu o spełnionym „amerykańskim śnie”. Oddając im głos, przywraca godność zapomnianym imionom, aby wszyscy spotkani na tej drodze życia mogli wypowiedzieć ukrywane żale i oczekiwania. Pojedynczy los to twarda rzeczywistość, praca od świtu do nocy, męka, niepewność jutra i ciągła walka o przetrwanie. Każdy

człowiek, niezależnie od tego, czy przybył tam lata temu, czy wczoraj, pragnie odnowić życie, uciec przed prześladowaniem lub sobą samym, to wędrowiec, który ciągle jest w ruchu, w pragnieniu przemiany.

Niekiedy poeta pozwala sobie na osobiste refleksje, ale nostalgia mocno boli, chwyta za gardło, dlatego w tym zbiorze o „miłości Ameryki” niewiele znajdziemy liryków, więcej jest tu opisów miasta i życia sąsiadów, podobnie żyjących jak on emigrantów. Nostalgiczne wersy są przejmujące, a temat powrotu do ojczyzny rzucony mimowolnie, żeby nie mógł przyłgnąć na dłużej, bowiem nostalgia niszczy i zniewala, osłabia siły niezbędne do przetrwania (*Jesienny poranek w Chicago*):

W nocy padał deszcz

był porywisty wiatr

„psa byś nie wygnał w taką pogodę”. [...]

Do tylnej szyby mojego samochodu

przykleiło się kilka liści

roześmianych złotem i purpurą.

Nie mam odwagi zapytać

„a dokąd to się wybieracie?”

Lizakowski dyskretnie przywołuje w wierszach polskie przysłowia, powiedzonka, określenia możliwe do metaforycznego odczytania w kontekście rodzimych klimatów (liście połyskujące „złotem i purpurą” odsyłają nas w domyśle do „złotej polskiej jesieni”). Bohater jego wierszy wie, że musi „grać kogoś, co wszystko rozumie”, przetrwał przecież tyle lat, wchodząc pomalutką w obcą sobie kulturę, aż nauczył się głębiej rozpoznawać siebie, swoje potrzeby i nadzieje, realnie patrzeć na propozycje i możliwości, wiedzieć, na ile go stać. Nie chce być „grzeczny i uprzejmy” fałszywie (jak ojciec inżyniera, którego syn sprowadził do Ameryki – byłego sekretarza partii w powiatowym mieście – dawniej butny i groźny, dziś aż za bardzo unижony). Poeta podaje różne przykłady zachowania, rozumiejąc ludzkie wybory, a przede wszystkim przedstawia swoje wartości, jakimi się kieruje:

Moje wiersze to wspaniałe skrzydła

Na których latam ponad miejscami

O których nie mógłbym nawet pomarzyć.

(...)

Moje wiersze są jak moje koszule i krawaty

Barwne i strojne w zależności od okazji

Są garniturami i kapeluszami rejestru bólu i radości

Z nimi czuję się wygodnie gdy piszę o porach roku

W nich w kilku słowach oddaję sens

Swojego życia, one rozpisane na głosy śpiewają

(Adam Lizakowski „*Moje wiersze*„).

Wiersze Adama Lizakowskiego są pochwałą dla wyobraźni
czerpiącej z „grubego pnia lipy czarnoleskiej”, wyobraźni, która
w najtrudniejszym nawet czasie staje się dla człowieka podporą i
ocaleniem.

Recenzja ukazała się w „*Recogito*”, Paryż, jesień 2022 r.

*

Teresa Tomsia – poetka, eseistka, autorka prozy dokumentalizowanej i szkiców literackich *Niedosyt poznawania* (2018). Publikuje na łamach „Toposu”, „Twórczości”, „Frazy” (cykl: *W pamięci, w odbiciu*). Ostatnio ukazał się wybór jej wierszy *W cieniu przelotnego trwania* (WBPiCAK, 2021) i tomik *Liryki przedostatnie* (Flos Carmeli 2022). Mieszka w Poznaniu.

*

Zobacz też:

Adam Lizakowski – sześć wierszy o Chicago

Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 1.

Ameryka w oczach i pamiętnikach wybitnych Polaków w XVIII, XIX i XX w. Część 2.

Listopad święteczny i waleczny



Fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik (Sosnowiec)

Jedno z ludowych przysłów polskich głosi: „W listopadzie liście

opadają, a ludzie znicze na grobach stawiają”. Właśnie. Liście opadają. Przypominają mi się ostatnie słowa Staszka Grochowiaka, powtórzone mi przez Jego Małżonkę w dziesiątą rocznicę zgonu poety. Były to słowa: „Wkrótce odejdę gdzieś w dalekie strony...”, potem znów: „...jak liść wiatrem zmieciony”. W tę właśnie dziesiątą rocznicę zorganizowaliśmy w jego rodzinnym mieście, Lesznie Wielkopolskim konferencję naukową, a wieczorem z udziałem mamy poety mieliśmy rodzaj stypy. Można ten niezwykły wieczór nazwać pogłosem Mickiewiczowych „dziadów”, z tradycyjnymi „wypominkami”, wspomnieniami, zamyśleniami, zapaleniem świeczek czy lampek. To mi zostało w pamięci, bo wiązało się ze szczególnym nastrojem, jaki przeżywałem każdego roku w rodzinnym domu w Święto Zmarłych i w Dzień Zaduszny. Od lat młodszych natomiast owe nastroje listopadowego czasu były wzbogacane Wyspiańskim, który akcje swojego arcydzieła lokował w jesiennych Łazienkach Królewskich.

W dramacie Wyspiańskiego „Noc listopadowa” sprawą naczelną staje się myśl o sposobach dochodzenia do niepodległej Polski. Klęska zrywu powstańczego 1830 roku nie oznacza usunięcia Ojczyzny z mapy Europy na stałe, bo – takie padają słowa – „umierać musi, co ma żyć”. To mitologiczna Kora wypowiada do swej matki Demeter wieszczące słowa, że w miejsce opadłych brązowych listopadowych liści zjawia się nowe, zielone:

Gdy więzy śmierci skruszę

i zieleń pędów nowych rzucę

na niwy, łęgi na zagony –

o matko, Bogów godna praca! –

Sposobić każ lemieszę, brony...

„Noc listopadowa” była ważnym utworem w naszej narodowej skarbnicy słowa artystycznego. Wielokrotnie do niego nawiązywano. Dość przypomnieć Ernesta Brylla „Rzecz listopadową” (1968).



Wojciech Kossak, Noc Listopadowa, fot. wikimedia commons

Wieszczona Kory spełniły się. Oto po wielomiesięcznym internowaniu w niemieckiej twierdzy w Magdeburgu 10 listopada 1918 roku pojawia się w Warszawie legendarny już człowiek, Komendant Józef Piłsudski, by w dniu następnym przejąć z rąk Rady Regencyjnej władzę i zostać Tymczasowym Naczelnikiem Państwa Polskiego. Parę dni później już jako Naczelnik Państwa wysyła szyfrówkę do państw świata ogłaszając uroczyście restytucję Niepodległej Rzeczypospolitej. Radość z odzyskania niepodległości manifestowali polscy poeci nazywający się później skamandrytami. 29 listopada 1918 roku założyli klub literacki „Pod Picadorem”. Odchodzili od problematyki martyrologicznej, głosząc radość idącą z „wiosny i wina” – jak to ujmował w poetyckim słowie Kazimierz Wierzyński. Aż dziwne, że ludzie typu Lechonia, Tuwima, Słonimskiego w chłodnym zazwyczaj listopadzie myśleli o

wiośnie. Ludzie z rzeczywistości rustykalnej żyli na ziemi i liczyli się z przysłowiami, które albo radowały, albo groziły:

„Grzmot listopada dużo zboża zapowiada”; „W listopadzie goło w sadzie”; „W listopadzie wielka lichota, zalewa po drogach błota”; „Po Wszystkich Świętych słońce, przez cały miesiąc błota”; „Po Wszystkich Świętych, gdy się deszcz rozpada, może słońce dotrzymać aż do końca listopada”; „W listopadzie kobieciny przędą swe kądziele, a co święto, co niedzielę, brzęczy gdzieś wesele”; „Gdy w listopadzie liść na szczytach drzew trzyma, to w maju na nowe liście spadnie jeszcze zima”; „W listopadzie jak na autostradzie”; „Jadwiga bez deszczu i chmury, listopad zimny i ponury”; „Jak listopad ciepły, marzec mrozem przewlekły”; „Gdy listopad mroźny, to lipiec nie groźny”; „Gdy w listopadzie grzmi, rolnik dobrze śni”.

Jan Brzechwa w wierszu *Listopad* z dobrym skutkiem tworzył nostalgiczny nastrój jesieni:

Złote, żółte i czerwone

Opadają liście z drzew,

Złote liście w obcą stronę

Pozanoś wiatru wiew.

[...]

W mokrych cieniach listopada

Może ktoś zabłąkał się?

Nie, to tylko pies zajada.

Pomyśl także i o psie.

Z licznych szkolnych wieczorków rocznicowych przychodzą do nas po latach strofy listopadowych wierszyków:

Dzisiaj wielka jest rocznica,

Jedenasty listopada.

Tym, co zmarli za ojczyznę,

Hołd wdzięczności Polska składa...

Synowa Wyspiańskiego, Leokadia (zob. „Śpiący Staś”) 10

stycznia 2007 roku mówiła mi w katowickim Teatrze, że jeszcze jako uczennica jednego z krakowskich liceów w którąś z rocznic 11 Listopada z wielkim przejęciem recytowała na akademii fragmenty „Wyzwolenia” swojego przyszłego teścia. Listopadowe święto wrosło w świadomość całych pokoleń Polaków w Kraju i za jego granicami...

Listopad, niby to dość ponury miesiąc, ale kończy się radośnie – Andrzejkami, obrośniętego dobrymi wróżbami i całą wspaniałą, barwną ludową obrzędowością. Jest to dzień dla mnie szczególnie ważny. Jestem synem Andrzeja, ojcem Andrzeja; sam zaś mam drugie imię – Andrzej.



Fot. pixabay

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

*

Zobacz też:

Październikowy gwiazdozbiór

Lwów Stanisława Lema



Lwów, panorama, fot. Anna Gordijewska

Album opracowany przez Annę Gordijewską i Mariusza Olbromskiego prowadzi czytelnika poprzez lwowskie życie pisarza, łącząc stary świat z pocztówek i fotografii z obrazem miasta, który znał Stanisław Lem. Zachowane do dziś detale wprowadzają w klimat dzieciństwa i czasów szkolnych bohatera. Patrząc na klatkę schodową, drzwi wejściowe do mieszkania Państwa Lemów, ozdobny sufit na który patrzył mały Staś, czy widok z okna na podwórko, gdzie występowali artyści, powodują, że mimo woli czytelnik przenosi się do świata, który ukształtował przyszłego pisarza. Poznajemy też szkołę im. Karola Szajnochy, widzimy piękny widok na miasto z jego klasy, lwowskie uliczki, którymi chodził, to wszystko stwarza niepowtarzalny klimat. Album to nie tylko podróż lwowskimi śladami Stanisława Lema, ale też zapis ulotnych chwil zamkniętych w szczegółach. *(Redakcja).*

ANNA GORDIJEWSKA
MARIUSZ OLBROMSKI

L
W
Ó
W

Stanisława Lema

Anna Gordijewska (zdjęcia), Mariusz Olbromski (tekst), Lwów Stanisława Lema, wyd. Biblioteka Kuriera Galicyjskiego, Lwów 2021 r.

Wstęp (fragm.)

Czym jest pamięć? Czy swego rodzaju sejfem czasu, z którego można wyjąć w każdej chwili te same fakty, odczucia, zdarzenia? Nie. We wstępie do „Wysokiego Zamku”, prozy autobiograficznej, Stanisław Lem pisze, że jego „rysopis pamięci” jest niepełny. (...) Mimo to, po jego lekturze każdy czytelnik jest ubogacony o wiedzę nie tylko dotyczącą biografii

Lema, ale miejsca i czasu, w którym przyszło poznawać mu najbliższe otoczenie, rodzinny Lwów, otaczającą go rzeczywistość. Bo tak faktycznie książka ta jest meandryczną opowieścią o wzrastaniu fizycznym, a przede wszystkim intelektualnym, o poznawaniu świata przez młodego lwowianina w rodzinnym domu i mieście, które do końca życia uważał za najpiękniejsze na świecie. Stąd krótkie opisy – wspomnienia, nie tylko osób, ale i kątów domowych, kamienicy, w której przyszedł na świat, bliższych i dalszych jej okolic, wędrówek po mieście – są wracającym na kartach tego dzieła *leitmotivem*. (...)



Tablica pamiątkowa na ścianie kamienicy przy ul. Brajerowskiej 4, w której mieszkał Stanisław Lem



Fragment klatki schodowej i drzwi wejściowe do mieszkania Lemów

*

Stanisław Herman Lem urodził się w wolnej Polsce 13 września 1921 roku, choć w jego metryce ze względu na przesąd wpisano datę o dzień wcześniejszą, w mieście określanym najczęściej mianem Semper Fidelis. (...) Przyszły pisarz przyszedł na świat w kamienicy państwa Lemów przy ulicy Brajerowskiej 4, dziś

Bohdana Łepkiego, w mieszkaniu na drugim piętrze. Ojciec jego Samuel, absolwent lwowskiego uniwersytetu, był wziętym laryngologiem, prowadził w domu praktykę lekarską, pracował też we lwowskiej klinice. Stanisław był jedynakiem, rozpieszczanym przez ojca i matkę Sabinę, z domu Woller, która zajmowała się wychowaniem syna i domem.

Talent literacki odziedziczył zapewne po ojcu, który we wczesnej młodości publikował wiersze i prozę w lwowskiej prasie, ale później poświęcił się medycynie i pracy zawodowej. W stulecie urodzin Stanisława Lema, na fasadzie jego rodzinnego domu, umieszczono skromną tablicę w języku ukraińskim, polskim i angielskim. Wędrujący po Lwowie przechodzeń mijając ją może nie uświadamiać sobie w pełni, że właśnie ten dom jest nie tylko miejscem narodzin światowej sławy pisarza, w którym wzrastał i się wychowywał, ale że stał się on także jedną z legend literackich. Bo właśnie ta kamienica została najbardziej wyraziście przedstawiona, pośród jakże wielu miejsc Lwowa, w „Wysokim Zamku”.



Piec w gabinecie Samuela Lema, ojca pisarza



Widok na balkon z gabinetu ojca pisarza, Samuela Lema

*

To w niej, żyjącej rytmem codziennych zajęć rodziny Lemów, włączonym w wielki rytm miasta, mały Staś poznawał świat, najpierw na czworakach. Odgłosy pojawiające się od strony ulicy, jak i docierające na podwórku nawoływania wędrownych rzemieślników, żebraków, muzyki towarzyszącej występom zespołów akrobatycznych, zmieszane z głosami rodziców były

jego pierwszymi doznaniem akustycznymi. To w niej poznawał zapachy, smak nie tylko słodczy i potraw, ale i nadgryzanej wielkiej pieczęci lwowskiego uniwersytetu na dyplomie ukończenia tej uczelni przez ojca. A później, gdy nieco wydorósł, wędrując z pomieszczenia do pomieszczenia, chłonał oczyma zdumionego dziecka kształty i barwy przedmiotów w poszczególnych pokojach, które po latach, z konieczności wybiórczo, acz ciekawie, opisał.

Stąd wiemy, że mieszkanie państwa Lemów składało się z sześciu pomieszczeń: przedpokoju wejściowego, sypialni, gabinetu pana domu, jadalni, kuchni, oraz przedpokoju i gabinetu laryngologicznego ojca. W pokojach były duże i wysokie piece w stylu secesyjnym z kafli popękanych w siateczkę. Każde z tych pomieszczeń, a także większość mebli została uwieczniona słowem. Niektóre przedmioty, nawet drobne, mają osobne i ciekawe „portrety”. Swój zmienny wizerunek – rosnącego szkraba-malca, później dorosłego gimnazjalisty, wpisał w różnego rodzaju sceny domowe, takie jak na przykład pranie bielizny, maglowanie i prasowanie. Również opisuje sceny pełne humoru, jak choćby wspomnienie karmienia małego Stasia, podczas którego ojciec musiał stać na stole i otwierać i zamykać parasol.



Balkony w kamienicy Lemów przy ul. Brajerowskiej 4 (obecnie Bohdana Łepkiego) od strony podwórka

To tam rozwijały się w samotności jego różnorodne zainteresowania, oglądanie rysunków w rozlicznych książkach medycznych ojca w jego bibliotece, czy w niemieckojęzycznej encyklopedii Brockhousa, grubych tomach przynoszonych od wujka Mundka. Namętne czytanie książek, później także z własnej biblioteki, w której znalazły się nie tylko pozycje z serii „Cuda Przyrody”, czy „Tajemnice Wszechświata”, ale też, między innymi, dzieła Aleksandra Fredry i Juliusza Słowackiego, a więc pisarzy związanych biografiami i twórczością z Kresami, stały się w okresie gimnazjalnym jego ulubionym zajęciem.

To tam też, w tym mieszkaniu, rozwijało się domowe

majsterkowanie małego Lema, które daleko wykraczało poza tego typu działania jego rówieśników. Ciekawość budowy różnych urządzeń zrazu pobudzała go do ich dewastacji, na początku zwyczajnie przy pomocy młotka. W okresie późniejszym zajmował się budowaniem coraz bardziej skomplikowanych konstrukcji. Budował elektryczne aparaty, maszynę Wimshursta oraz induktor Ruhmkorffa, transformator Tesli i wiele innych. Zajmował się też teorią, zapisywał w grubych zeszytach swe pomysły i rysował ich „szkice techniczne”, a wśród nich na przykład model samolotu pionowego startu, „wiosło z łopatką w kształcie parasola, który pod wpływem oporu stawianego przez wodę sam się otwierał i zamykał” i wiele innych. (...)



Widok z okna klasy dawnego II Państwowego Gimnazjum im. Karola Szajnochy na wieżę Korniakta

Z gniazda rodzinnego wędrował też od najmłodszych lat po kilkanaście razy w roku razem z ojcem na Wysoki Zamek – do tego miejsca wyjątkowego dla lwowian, górującego podniebnie nad miastem i okolicą – by przemierzać tam aleje i ścieżki, patrzeć na rozciągającą się u stóp wspaniałą panoramę prastarego grodu. Na jedyny na świecie wizerunek, który naszkicował później z takim mistrzostwem swym słowem. (...) „Wysoki Zamek” Lema jest także – w innym znaczeniu, sam w

sobie „twierdzą”, bo słowo pisarza jest z czasem bardziej trwałe niż mur obronny i kamień. (...)

Mariusz Olbromski

*



Ruiny murów obronnych Wysokiego Zamku



Ozdobna grota na Wysokim Zamku z lwami autorstwa Bernarda Dickemboscha przeniesionymi z lwowskiego ratusza. Nad wejściem herb E. Syksta i J. Lorencowicza z XVII w. pod datą 15 Aug(usta) 1841 r.

Fotografie autorstwa Anny Gordijewskiej pochodzą z albumu „Lwów Stanisława Lema”.

*

Zobacz też:

Fredro z Krainy Humoru

Kraina Wesołych Nauk, czyli Ogród Doświadczeń imienia
Stanisława Lema w Krakowie

Jan Lechoń - w służbie Polsce i Polonii



Jan Lechoń, portret autorstwa Romana Krąmsztyka (1919)

Krzysztof Langowski (*Nowy Jork*)

Spoglądając z obecnej perspektywy na dzieje polskiego wychodźstwa niepodległościowego na terenie Stanów Zjednoczonych podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu w 1945 r. nie sposób jej sobie wyobrazić bez znaczących osobowości. Te właśnie indywidualności swoim poświęceniem, działalnością polityczną, społeczną i jednocześnie troską o zachowanie narodowych imponderabiliów w walce z

komunistycznymi wpływami na polonijne środowisko niepodległościowe dawały wyraźne świadectwo istnienia poza Polską wolnej myśli w utrwalaniu tradycji, kultury i prawdy historycznej narodu polskiego. Wśród nich bez wahania możemy wskazać Jana Lechońa.

Jan Lechoń (właściwie: Leszek Józef Serafinowicz), urodził się 13 marca 1899 r. w Warszawie. W latach 1907/1908 rozpoczął naukę w szkole im. Stanisława Staszica z polskim językiem wykładowym, a w 1911 r. przeniósł się do szkoły klasycznej im. Emiliana Konopczyńskiego. W grudniu 1912 r. dzięki nakładowi finansowemu jego ojca Władysława ukazał się jego debiutancki tomik wierszy pod tytułem „Na złotym polu”. Trzy lata później w 1914 r. ukazał się kolejny tomik „Po różnych ścieżkach”. Oba zbiory wierszy ukazały się pod pseudonimem Jan Lechoń. W 1916 r. Lechoń zdał maturę i rozpoczął studia z zakresu filologii polskiej na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego, jednak nigdy ich nie ukończył. W tym okresie współredagował czasopismo „Pro Arte et Studio”. Był również współzałożycielem kawiarni „Pod Pikadorem”, a także założonej 6 grudnia 1919 r. wspólnie z Kazimierzem Wierzyńskim i Julianem Tuwimem grupy poetyckiej „Skamander”.

W latach 1919-1920 w okresie wojny polsko-bolszewickiej Lechoń był zatrudniony w Biurze Prasowym Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. Wspominając później Lechońa Zdzisław

Czermański pisząc na jego temat stwierdził, że

Żołnierzem nigdy nie był. Brak żołnierskiej karty nieraz mu dokuczał, ale też rozumiał dobrze, że na żołnierza się nie nadawał. Bez nerwowej szarpaniny i wysiłku nawet parasola otworzyć nie mógł, a cóż by to dopiero było ze złożeniem się z karabinu! A gdyby ten karabin mu dali, pewny jestem, że zacząłby strzelać z przejęcia i z gorliwości na długo przed bitwą i to we wszystkich kierunkach.

W latach 1926-1929 Lechoń był redaktorem pisma satyrycznego „Cyrulik Warszawski”. Z prowadzeniem tego pisma wiąże się także historia związana z częstymi pobytami Lechonia w znanej w środowisku przede wszystkim artystycznym Warszawy cukierni „Ziemiańska”. Żartobliwą relację na ten temat przekazał także Zdzisław Czermański, który pisał, że właściciel cukierni Albrecht po przeprowadzonym remoncie w 1927 r. zwrócił się do Lechonia z pytaniem

Czy nie uważałby on stolika na półpiętrze za najodpowiedniejszy do stałego zarezerwowania dla panów artystów Leszek w kilku susach wskoczył na półpiętro, usiadł na skórzanej kanapce i propozycję Albrechta przyjął. Od tego czasu Leszek na półpiętrze gospodarzył terroryzując i

wystraszając od stolika wszystkich niemiłych mu przysiadaczy. Byłem świadkiem jak gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski z poważną miną zbiegł po schodach w dół do zbliżającego się Leszka, żeby mu wyjaśnić dlaczego pozwolił sobie wziąć ze sobą na półpiętro nieznanego osobnika. – Człowiek z kresów, – mówił Wieniawa, – jechał całą noc. Był zmęczony. Wojewoda. Posadziłem go tutaj na chwilę. Jak odpocznie to pójdzie.

Jan Lechoń wziął 1927 r. czynny udział w sprowadzeniu z Francji do Polski prochów Juliusza Słowackiego, który został następnie pochowany na Wawelu w Krakowie. Od 1930 r. przez kolejne dziewięć lat Lechoń był attaché kulturalnym w polskiej ambasadzie w Paryżu. Zdzisław Czermański wspominając po latach pierwszy okres działalności Lechonia w tym mieście pisał, że

Onieśmielony nieznaną sobie mową francuską siadywał często na pustym tarasie dzisiaj sławnej Café Flore i żeby nie było żadnej kwestii wskazywał palcem na swoją pierś, mówiąc do kelnera głuchszym niż zwykle głosem: – Un café noir – por moi. Płacił za wszystko banknotami i po dwóch tygodniach tego procederu miał po kieszeniach same drobne monety. Sypały się z niego, i brzęczał nimi cały. A wydatnością swoich piersi dziwił, bo nikt się nie domyślał że

nosi bilon w dwóch portfelach na piersi.

Po klęsce Francji w 1940 r. Lechoń wyjechał do Brazylii, a następnie dotarł w dniu 11 sierpnia 1941 r. na statku „Urugwaj” do Nowym Jorku, gdzie zamieszkał na stałe. Natychmiast zaangażował się w życie miejscowego środowiska niepodległościowego Polonii amerykańskiej. Był darzony przyjaźnią znajdujących się w Stanach Zjednoczonych m.in. światowej sławy klawesynistki Wandy Landowskiej, malarza Rafała Malczewskiego, a także Kazimierza Wierzyńskiego. Po przyjeździe nawiązał także współpracę z przybyłymi w tym samym roku do Stanów Zjednoczonych piłsudczykami Ignacym Matuszewskim, Henrykiem Floyrem-Rajchmanem i Wacławem Jędrzejewiczem. Pisząc na ten temat w okresie późniejszym Jędrzejewicz stwierdził:

Przypominam sobie takie wieczory i noce w ciemnym mieszkaniu Rajchmana na 115 ulicy West, koło Uniwersytetu Columbia. W jednym pokoju Halina Wierzyńska pisała na maszynie projekt przemówienia prezesa KNAPP-a pod dyktando Matuszewskiego, w drugim Halina Matuszewska stuknęła jakąś odezwą dyktowaną przez Rajchmana, gdzieś po kątach Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński słęczeni nad zapisanymi już stronami, poprawiając je stylistycznie, coraz to proponując jakieś zmiany czy dodatki, dodając znakomite

cytaty czy skróty przydługich zdań.



Jan Lechoń, gen. Tadeusz Bór-Komorowski i Kazimierz Wierzyński w siedzibie redakcji „Tygodnika Polskiego” w Nowym Jorku, czerwiec 1946 r.

Wkrótce po przyjeździe Lechoń wziął czynny udział w charakterze propagatora polskiej kultury. Z okazji obchodzonej w dniu 25 września 1941 r. na Uniwersytecie Columbia zorganizowano uroczystość poświęconą 25. rocznicy działalności wydziału polonistyki na tej właśnie uczelni. Lechoń był głównym

mówcą w trakcie tej uroczystości obok ówczesnego szefa wydziału, prof. Clarence'a A. Mondinga. Na łamach wydawanego w Nowym Jorku dziennika „Nowy Świat” zapowiadając planowane wydarzenie pisano, wyrażając jednocześnie nadzieję, że

w czasach, gdy kultura polska jest systematycznie niszczone przez najeźdźcę, należy się spodziewać, że Polonia z uznaniem przyjmie inicjatywę Uniwersytetu Columbia i tłumnie przybędzie, by uczcić tak ważny jubileusz.

W treści zaprezentowanego przez siebie odczytu zatytułowanego „Przyszłość kultury polskiej” Lechoń odwołał się do wojennej rzeczywistości stwierdzając, że

gdy kultura polska leży w gruzach i tropi się każdy jej ślad, aby go zatrzeć, zdawałoby się rzeczą niemożliwą, niemal zuchwałą, mówić o przyszłości tej kultury.

Ukazał następnie tragiczne dzieje Polaków, najazdy tatarskie, krzyżackie czy szwedzkie, ani

rozdarcie i pogrzebanie Polski na oczach Europy samolubnej

i bezsilnej nie pogrzebały duszy polskiej.

Lechoń podkreślił jednocześnie gotowość ze strony Polaków do współpracy w odbudowie po zakończeniu działań wojennych Europy, przedstawiając przy tym wizję przyszłości, która była oparta na tendencjach federalistycznych, które

Polska już dawno uważała za swoje i wcielała je w życie, ponieważ idea jagiellońska była to właśnie owa federacja, o której dziś się mówi.

Odwołał się jednocześnie do doświadczeń słuchaczy, wskazując, że symbol Polski jagiellońskiej może być źródłem dumy zwłaszcza dla rodaków w Stanach Zjednoczonych,

mających przed sobą wzór nowoczesnego państwa, które rozmachem twórczego wysiłku, entuzjazmem pracy i zdobywania, najgłębszym instynktem demokratycznym, zdołało stworzyć i spaja coraz bardziej jedność różnych narodów.

Wybór poety na głównego mówcę wieczoru był z pewnością celowym ruchem, który był obliczony na sukces zabiegów

patriotycznych i propagandowych. Podobnie stało się także później, kiedy Lechoń wziął udział obok Kazimierza Wierzyńskiego i Juliana Tuwima w świątecznej audycji radiowej nadawanej przez lokalną nowojorską stację WRUL, która była adresowana do Polski i Polaków rozrzuconych po świecie. W jej trakcie trzech poeci wygłosili wzruszające i zarazem podtrzymujące narodowego ducha w swej treści przemówienia.

Dzięki posiadanemu przez Lechonia doświadczeniu w dziedzinie promocji kultury polskiej, które nabył podczas pobytu we Francji i Brazylii szybko został zatrudniony przez podlegające polskiemu rządowi na uchodźstwie i kierowane w Nowym Jorku przez Stefana Roppa *Polish Information Center*. Zlecono mu do realizacji przez ambasadę RP w Waszyngtonie m.in. opracowanie dla amerykańskiego Ministerstwa Wojny cyklu audycji dotyczących Polski. Miały się one zmieścić w serii regularnych programów radiowych, które zostały przeznaczone dla amerykańskich żołnierzy. Audycje te miały za zadanie w przystępny sposób nauczać o historii i tradycji narodów sprzymierzonych, na przykładzie podanych ważniejszych wydarzeń z dziejów narodowych, a także ukazania sylwetek najważniejszych postaci wywodzących się z danego kraju. Zamierzenia te miały na celu przede wszystkim osiągnięcie celu propagandowego, którym było zainteresowanie przedstawicieli innych państw i społeczności, kultur i języków sprawami Polski, jej historią i osiągnięciami w dziedzinie nauki i kultury, a także

tragicznej codzienności w trakcie trwających działań wojennych.

W tym okresie Lechoń zajmował się także wydawaniem podlegającego polskim władzom i wydawanego w Nowym Jorku „Tygodnika Polskiego”. Jego łamy zostały przez niego szeroko otwarte od maja 1942 r. dla utworzonego w Nowym Jorku Polskiego Instytutu Naukowego. Pismo stało się w krótkim czasie swoistą kroniką życia i działalności tej instytucji na bieżąco, ze względu na publikowane w nim zapowiedzi wszystkich organizowanych i odbywających się tam wydarzeń, konferencji, odczytów i spotkań, zaproszeń do udziału w nich, a następnie ich omawiania, które niejednokrotnie były przygotowane przez samego Lechonia. Na łamach tygodnika Lechoń stanowczo zareagował na działalność komunistycznego agitatora którym był prof. Oskar Lange. W tekście niepodpisanym wprawdzie, ale napisanym przez redaktora naczelnego, którym był Lechoń ukazał się na początku 1944 r. artykuł wstępny pt. „Nowa Targowica”. Tekst ten poprzedzał list protestacyjny wystosowany przez 17 polskich profesorów, którzy wykładali na uczelniach w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie przeciw wystąpieniu Oskara Langego. Pisząc na temat działalności Langego i jego politycznych towarzyszy, w tym także współpracującego z nimi Juliana Tuwima, poeta przyrównał ich do Targowicy. Stanowczo więc stwierdził

Ta zdrada nie jest szaleństwem, nie jest jakimś odosobnionym wybrykiem czy jakąś jednostkową degeneracją; jest to zdrada zorganizowana, czynna, karna, świadoma swych celów, wążąca każdy krok, raz układna, raz pełna niepojętej zbrodniczej buty; jej cel jest jasny, bo przecież otwarcie go głosi: oddanie polskiej ziemi wrogom. Nie boimy się o wpływ nowej Targowicy na naród polski, bo ludzie ci po prostu tego wpływu mieć nie mogą, jak nie może go mieć Julian Tuwim, tam, gdzie w szaleńczym zaślepieniu pychy chce stanąć w poprzek instynktowi całego męczeńskiego i bohaterskiego narodu, całego - aż do naprawdę polskich komunistów, jak Władysław Broniewski.



Jan Lechoń w pensjonacie Janiny i Stanisława Strzetelskich w Sea Cliff na Long Island, II poł. lat 40. XX wieku

Jan Lechoń angażując się w prowadzenie pisma „Tygodnik Polski” podejmował przez kolejne lata starania o zdobycie koniecznych do jego prowadzenia funduszy. Świadczy o tym fakcie także wyraźne pismo, które wysłał 7 sierpnia 1945 r. do prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej Karola Rozmarka

Nasz przyjaciel Artur Rodziński poinformował już Pana

Prezesa o warunkach w jakich znalazł się „Tygodnik Polski” w związku z ogólną sytuacją. Parę miesięcy temu w dłuższym, oparzonego szczegółowymi danymi finansowymi, piśmie zwracaliśmy się do Kongresu Polonii z prośbą o dopomożenie nam w utrzymaniu tej jedynej już dziś na świecie wolnej placówki literatury polskiej i rozpowszechniania słowa polskiego pomiędzy wojsko polskie i niezliczone rzesze uchodźców na całym świecie. Tygodnik został pozbawiony wpływu z prenumerat wojskowych, z drugiej strony wzrosły wielokrotnie zapotrzebowania na nasze pismo zarówno ze strony żołnierzy jak też uwolnionych jeńców, pozbawionych słowa polskiego i domagających się o nie rozpaczliwie. To skłania nas, aby zwrócić się do Wielce Szanownego Pana Prezesa, z prośbą o jego interwencję i przychylną decyzję. Prosimy niniejszym, aby Kongres Polonii zaprenumerował tysiąc egzemplarzy „Tygodnika Polskiego” dla wojska i uwolnionych jeńców.

Niestety prośba Lechońa nie spotkała się z przychylną reakcją ze strony kierownictwa KPA.

Jan Lechoń utrzymywał jednocześnie stały kontakt z działaczami Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, a w szczególności z Henrykiem Floyarem-Rajchmanem, który starał się wykorzystać talent pisarski poety do realizacji działalności

politycznej zarówno w ramach założonego przez piłsudczyków współpracujących z gronem działaczy polonijnych w czerwcu 1942 r. Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia, a także założonego dwa lata później Kongresu Polonii Amerykańskiej. Świadczy o tym m.in. list Lechonia do Rajchmana w którym pisał on o swoim spotkaniu w Detroit z prezesem KNAPP Henrykiem Kogutem. Lechoń pisał:

Wczoraj miałem miłą wizytę pana Koguta i długą nocną z nim rodaków rozmowę. Dziś powtórka”.

Z kolei Rajchman pisał do Lechonia 2 października 1945 r. na temat konieczności przygotowania przez niego tekstów przeznaczonych dla kierownictwa Kongresu Polonii Amerykańskiej

W związku z naszą rozmową powracam do naszego porozumienia i mojej prośby, abyś zechciał napisać projekt „Ślubowania” do Kraju, i szkic 2-3 stronicowy „Odezwy do Polonii” oraz część emocjonalną do przemówienia pana Karola Rozmarka. Według Twego życzenia posyłam Ci tekst „Pośłania do Narodu Polskiego,, które uchwalono w Buffalo, w maju zeszłego roku dotarło parę miesięcy później do Kraju. Ponadto załączam „Odezwę do Polonii” z 29 czerwca 1945 r.,

która jest ostatnim kalendarzowo wystąpieniem Zarządu Kongresu skierowanym do Polonii.

Lechoń, przesyłając później przygotowany przez siebie tekst pisał do Rajchmana z satysfakcją

Drogi Henryku! Oto tekst obiecany.

Niestety nie zawsze Lechoń mógł się wywiązać na czas z podjętego przez siebie zobowiązania i dlatego też pisząc do Rajchmana 3 marca 1949 r. stwierdził

Drogi Henryku! Piszę do Ciebie, aby najmocniej i najserdeczniej przeprosić Ciebie: także za sprawiony Wam zawód i kłopot i powiedzieć Wam jak bardzo jestem zmartwiony że nie mogłem Ci wykonać tej przysługi. Znałem jej wagę i tym bardziej chciałem tę pracę wykonać - niestety przeciwności nie do przebycia pokrzyżowały te moje zamiary.



Po mszy w kościele Św. Stanisława przy 7 ulicy na Manhattanie. Trumnę Jana Lechonia niosą (od lewej strony) Aleksander Janta, Józef Lipski, gen. Władysław Anders, Adam Ciołkosz, gen. Wincenty Kowalski i Ziemowit Karpiński

Jan Lechoń zmarł śmiercią samobójczą wyskakując 8 czerwca 1956 r. z okna na 12 piętrze hotelu Hudson stojącego przy 57 ulicy i 10 Alei w Nowym Jorku. W uroczystościach pogrzebowych w kościele św. Stanisława na Manhattanie a także później na cmentarzu Calvary I na Quensie wzięli udział m.in. generałowie Władysław Anders i Wincenty Kowalski, a także Wacław Jędrzejewicz, Kazimierz Wierzyński, Aleksander Janta, Józef

Lipski i Adam Ciołosz. Przemawiając nad trumną swojego przyjaciela Kazimierz Wierzyński powiedział m.in.

Żegnam Go w imieniu pisarzy i w imieniu przyjaciół. Miał ich wielu, a nawet fanatycznych. Potrzebował przyjaźni przez całe życie i szukał jej jak lekarstwa na dokuczliwą samotność. Myśmy go też potrzebowali. Nikt nie mógł się oprzeć jego fascynującej osobowości i wyrzec się dumy, że był z nim w przyjaźni. Leszku kochany, żegnam Cię.

Artykuł ukazał się w „Kurierze Plus”, Nowy Jork, 6 listopada 2021 r.

*

Zobacz też:

Janusz Krzyżanowski wśród Polonii

Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

Październikowy gwiazdozbiór



Październik, fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik (Sosnowiec)

Co to są paździerzki? Odpadki lnu, lub konopi. Pojawiają się w dziesiątym miesiącu roku i nadają temu miesiącowi nazwę. Z niemieckiej tradycji pochodzi nazwa „winnik” - od czasu winobrania.

Jakież mamy ważne rocznice w październiku. Rzecz paradoksalna. Oto rocznica Rewolucji Październikowej była niegdyś obchodzona z dość ambiwalentnymi uczuciami w... listopadzie. Ale na szczęście to przeszłość... Zapowiadano „światlane zorze dla ludzkości”, a przyszedł mrok i ból milionów. Współcześnie ważne rocznice są nam mentalnie bliższe. 17 października w Paryżu przy *Placu Vandome* nastąpił zgon Fryderyka Chopina. To w paryskim *Parku Monceau* przy marmurowym pomniku mówiłem sobie króciutki liryk z tomu *Poezji Kazimierza Przerwy-Tetmajera* (seria II, XVI) poświęcony wielkiemu Polakowi:

Z daleka ku mnie płyną

Chopina smutne tony

I duszą mą owłada

Żal nieskończony.

*

Chciałbym wyciągnąć ręce

i lecieć gdzieś w przestworza,

w wieczornych cichych mgławic

bezdenne morza.

*

Coś rwie mi serce z piersi,

od ziemi mię odtrąca – –

a gardło moje dławi

gorycz paląca...

Chopin!... Taki dawny i jednocześnie aktualny, żywy. Po odwołaniu stanu wojennego bywałem dość często w Paryżu na Wyspie u Romanowiczów. Zachodziłem systematycznie na cmentarz *Pere Lachaise*. Często podchodzili do mnie młodzi Polacy, których 13 grudnia 1981 roku zastał nad Sekwaną. Tacy czasowi emigranci... Pytali, co w Kraju, co mają robić. Zwykle odpowiadałem, że decyzja do nich należy. Po chwili dawałem sygnał: „Skoro pochylacie się nad ciałem Chopina, skłońcie się też przed jego sercem w Kościele Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie”.

Październik!... Jarosław Iwaszkiewicz bywał wielokrotnie zapatrzony w październikowe niebo, by potem napisać w roku 1942 słynne *Plejady* (wydane w 1946) z pysznym początkiem: „Plejady to gwiazdozbiór już październikowy”. Kusił poetę bezustannie ten niosący przymrozki miesiąc. W tomie *Krągły rok* (1967) pomieścił Iwaszkiewicz wiersz *Październik*, dzięki któremu niemal wszystkimi zmysłami odbieramy smak i urodę polskiej prowincji:

Ptaki październikowe

schylają zmęczone głowy

*

jak w zadymionych zwierciadłach

stoją jesienne sady

anioły i papugi

obsiadły winogrody

*

jeszcze te trochę liści

jeszcze jagód dwie kiści

i okruszyny w koszyku

*

już po wiosennym krzyku

już po zielonych godach

śpi papierowa uroda

*

już wszyscy gwiazdni ptacy

zaświecili

już wszyscy letni bracia

ulecieli

*

zasypia jeden za drugim

pod liściem przywędniętym

*

i nikt już nie pamięta

ja może jeden pamiętam

*

i może jeszcze kto drugi

Podobnie, jak inne miesiące, październik także obrasta w przysłowia. Oto one: „W październiku, gdy liść z drzewa niesporo opada, późną to wiosnę zapowiada”; „W październiku kawek gromada, słotne dni nam zapowiada”; „Gdy październik mroźny, to nie będzie styczeń groźny”; „Październik chodzi po kraju, cichnie ptactwo w gaju”; „Gdy w październiku ciepło chadza, w lutym mrozy naprowadza”; „Październik stoi u dwora, wykop ziemniaki z pola”; „W październiku jak na śmietniku”; „W październiku myśli z ptakami na północ odlatują”...



Jan Matejko, Królowa Jadwiga, fot. Wikimedia Commons

Najprzedniejsze jest jednak przysłowie: „Na Jadwigi, z kapustą na wyścigi”. Dlaczego „na wyścigi”, z kim mamy się ścigać? Ano z tu i tam atakującym nas śniegiem, czy nawet z dojmującymi śnieżycami. Właśnie na dzień 15 października, czyli na imieniny Teresy i Jadwigi, niegdyś dość często pojawiały się opady śniegu. Pospiesznie z pola zbierano kapustę, która zwykle wędrowała do ziemnych piwnic, niekiedy do kopców. Część główek kapusty szatkowano, udeptywano w drewnianych bekach, kiszono; często z marchwią, kiedy indziej z jabłkami, wielokroć z burakami, aby przydać kapuście czerwonego koloru. Deptanie kapusty – a nie ubijanie jej drewnianymi tłuczkami – poprzedzał swoisty rytuał. Przez kilka godzin młodzieńcy wiejscy moczyli w cebrzyku nogi, szorowali je, następnie wkładali trzyćwierciowe lniane

kalesony i wchodzili do dębowej beczki wysokiej na jakieś półtora metra. Zwykle kobiety szatkowały główki kapusty, „urobek” sukcesywnie wrzucały do beczki. Deptanie polegało na obracaniu się wokół osi tak, aby raz pięty były po trosze od strony środkowej, to znów od zewnątrz - przy klepkach beczki. Nadmiar soków wybierano „bączłowymi” - kamiennymi - czerpakami. Jeśli ktoś - nawet najbiedniejszy - miał na sezon zimowy „bekę” z kapustą oraz parę kwintali ziemniaków, uważano, że nie umrze do „przednówka” z głodu...

Te październikowe Jadwigi, Jadźki i Jagody w pejzażu mojej biografii stanowią zjawisko fascynujące, wzbogacają tę biografię. Poprzez wielkie polskie malarstwo i historyczne powieści zapadła w moje serce Królowa Jadwiga. Jestem dumny z tego, że ukończyłem Uczelnię krakowską, którą przed stuleciami ona restytuowała dzięki osobistej hojności. W mojej młodości i dzisiaj w latach senioralnych pochylałem się ze wzruszeniem o nadal się pochylałam nad jej jasnym sarkofagiem. Moja babcia po mieczu - Jadwiga Wójcikowa, leży na cmentarzu w Będzinie. Była dobrą prostą kobietą z Sancygniowa, ale też spoczywa na Królewskiej Górze Zamkowej.

Niech długo żyją: siostra wujeczna Jadzia Wójcikówna; szkolne koleżanki: Karczówna-Ślązak, Targowska-Kucia, Wyrzycka-Mazurowa. Z sąsiadek: Jadzia Janiszewska. Ze współpracowników: redaktor Jagoda Krzeszowiec. A to dopiero

początek serdecznej listy...

Przysłowia przysłowiami. Ale ważniejsze jest to, że POLSKI PAŹDZIERNIK przyniósł nam Polakom w roku 1956 wyraźne rozszerzenie sfery wolności... Po październiku przychodzi LISTOPAD. Ten miesiąc też jest nacechowany myślą o wolności. Tak, bo właśnie „listopad to dla Polaków niebezpieczna pora.” Ale do tej sprawy wkrótce wrócimy.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

*

Zobacz też:

Wrzesień pełen wrzosów i... wojennych wspomnień

Bałamuctwa powtarzane w „Księgach Jakubowych”

Adam Wierciński *(Opole)*



Jakub Frank - żydowski mistyk, główny bohater „Ksiąg Jakubowych”, fot. Wikipedia

Poważne i zasłużone wydawnictwo, z uporem godnym lepszej sprawy, próbuje nadal ośmieszać autorkę *Ksiąg Jakubowych*. Nie zdobyło się na konieczną wymianę choćby kilku stronic w kolejnych dodrukach. W ambitnej, choć miejscami przegadanej powieści, z tyłoma dygresjami, które czasem męczą i nużą czytelnika, przerywają też one akcję, co przynosi szkodę głównemu bohaterowi, ciągle straszą i śmieszą zdania, które nie pasują do czasu powieściowego. Nie wiedzieć po co pojawiają się dzisiejsze potoczny i brzydalstwa z niższego rejestru stylistycznego, a kiedy indziej – słowa i słówka nazbyt pretensjonalne, współczesne atrybuty powagi stylistycznej. Te tam „relacje” czy „problemy”. Dzisiejsze, nadużywane wytrychy

językowe. Ale redaktorom książki to nie przeszkadza. W powieści historycznej, docenionej przez krytykę, a nawet przecenionej, można znaleźć takie zdania: „Decyzja ta znacznie polepszyła jego relacje [sic!] z ojczymem, który go nie lubił” albo też: „Ksiądz Chmielowski czuje się nieusatisfakcjonowany [sic!] tym, co udało mu się wypowiedzieć podczas odwiedzin pani Drużbackiej. Bo też niewiele mu się udało, chyba z wrodzonej nieśmiałości”.²

Akcja powieści rozgrywa się w XVIII wieku. I takie zdania: „A dlaczego taka postawna kobieta wybrała sobie takiego konusa? Chyba żeby interesy rodziny umocnić, a interesy umacnia się polityką” (s. 68). Tak mieli plotkować o Katarzynie Kossakowskiej bliźni. Narrator zapomniał, że „konus” w XVIII wieku znaczył – „wierzchołek”, „stożek”, a nie – jak w dzisiejszej, prawie koszarowej polszczyźnie – niewysoki mężczyzna. I jeszcze dziwniej: „Ściąga przez głowę swój biskupi strój, przebiera się w zwyczajne łachy [sic!], wkłada na głowę czapę” (s. 854); „Tu przytaszczył [sic!] swoją bibliotekę i zbudował [sic!] dla niej pięknie rzeźbione gabloty” (s. 840); „Mesjasz już przyszedł i niezauważalnie przestawił wajchę świata [sic!], taką jak przy studni” (s. 726); „Nachman wzdycha: kobiety miały z tym zawsze większy problem” (s. 465); „Nagle jego wyobraźnia robi skok [sic!] pod te ich kapoty postrzępione i biskupa męczy obraz [sic!] ich członków” (s. 602); „Jeden liścik do tego nadętego biskupa smutasa” (s. 515).

Te wszystkie „konusy”, „łachy”, „wajchy” czy „smutasy” nie pasują do powieści historycznej, która według niektórych krytyków mogłaby z powodzeniem konkurować z pisarstwem samego Sienkiewicza. A z czym tu do Sienkiewicza? Z takim językiem. Z „wajchą” i „smutasem”?

Ten Mesjasz, który przyszedł i „przestawił wajchę świata” mógłby się pojawić w powieści Jarosława Haška, ten zwrot pasowałby do kazania wojskowego kapelana. A ten długi i brzydki, prawie niemożliwy do wymówienia przymiotnik – „nieusatysfakcjonowany”? Nie podobałoby się księdzu dziekanowi rohatyńskiemu to brzydalstwo przeniesione w tamten czas. Uwaga cytowanego już krytyka: „całe przedsięwzięcie ma wszelkie cechy pisania współczesnym językiem dla współczesnych czytelników o ograniczonych kompetencjach językowych, żeby zrozumieli i nie musieli po słownikach grzebać...”.³

A tacy czytelnicy wiedzą swoje. Jedna z aktorek uczestniczących w nagrywaniu powieści zapewniała: „W prozie Olgi Tokarczuk nie znajduję żadnego zbędnego słowa – mówi nam z kolei Agata Kulesza”.⁴ Ani „wajchy”, ani „łachów” nie zauważyła.

Naprawdę zestawiano *Księgi Jakubowe*, nie wiedzieć dlaczego, z powieściami historycznymi Sienkiewicza. Wspominał publicysta:

monumentalne, 900-stronicowe *Księgi Jakubowe* opowiadające pasjonującą, przedziwną historię Jakuba Franka, założyciela emancypacyjnej, żydowsko-chrześcijańskiej sekty poszukującej Boga, gdzie tylko się da, wywołały gwałtowny spór o dzieje Kresów Rzeczypospolitej - Tokarczuk podważyła [sic!] Sienkiewiczowską kresową idyllę [sic!], zastępując ją wizją świata niewolniczego, skolonizowanego przez polskich panów.⁵

O Sienkiewiczowskiej „idylli” kresowej może rozprawiać tylko ktoś, kto dawno i pobieżnie czytał te powieści „z dawnych lat”, wnikliwy czytelnik znajdzie tam więcej barw ciemnych niż jasnych. Stanisław Lem, który ciągle wracał do twórczości powieściowej Sienkiewicza, wyjaśniał:

Mówiłem już, że to wcale nie jest system dzieł napisanych dla pokrzepienia serc, tylko dla ich przerażenia, wbrew temu, co twierdził sam Sienkiewicz i jego badacze, i dziwi właściwie, czemu Polacy z taką satysfakcją je tyle lat czytają. [Zygmunt] Szwejkowski napisał o Trylogii, że to baśń - jaka tam baśń? Historia okrutna i ponura.⁶

A jeszcze ta nieszczęsna „kolonizacja” i ci „polscy panowie” pochodzący z niedawnych podręczników i z dzieł za szybko piszących historyków i publicystów. Nie wspomiano tam, że ci „polscy panowie” byli często ruskimi kniaziami i bojarami. Tłumaczył kilkadziesiąt lat temu Paweł Jasienica:

Czytało się nieraz w przeszłości, czyta i za dni naszych dość uproszczone wywody na temat „zasług pług polskiego” w tamtych stronach. Dawniej się je sławiło, a teraz pisze, że chłop ruski orał rolę polskiego pana i na tym polegać miała istota sprawy. W rzeczywistości bywało często wręcz przeciwnie – parobek był Polakiem, pan Ukraincem. [...] Teza o kolonialnej eksploatacji Ukrainy przez Polskę wygląda nieco dziwnie, skoro Korona zainwestowała w Ruś to, co najcenniejsze – ludzi. Tysiące uchodźców z Nadwiśla przestało być Polakami raz na zawsze.⁷

Rozpływali się w ruskim (według dzisiejszej terminologii – ukraińskim) morzu włościanie z nad Wisły i *demos* szlachecki z Mazowsza i Podlasia, a przechodzili na katolicyzm i polszczyli się ruscy panowie. Paradoksy historii. Rozprawianie o świecie skolonizowanym – jałowe zajęcie. Nie wszystkie nowinki pasują do naszych realiów. Janusz Tazbir dowodził:

Wydaje się jednak, że czym innym było nawoływanie do zasiedlania pustych terenów, jak to miało miejsce w stosunku do południowo-wschodnich kresów państwa polskiego, czym innym zaś aprobata dla podboju cudzych ziem z osiadłą już od wieków ludnością. To ostatnie mogło również dotyczyć polskich planów aneksji części terytorium moskiewskiego. Ale znów zabór sąsiedniego terenu trudno uważać za zamiar stworzenia sobie kolonii. [...] Tymczasem Dzikie Pola nie zostały włączone do gospodarki polskiej, co więcej nie udało się ich zasiedlić. Można więc co najwyżej snuć hipotezy na temat roli, jaką przeznaczano tym terenom; nie sposób natomiast mówić o koloniach Rzeczypospolitej w dzisiejszym tego słowa znaczeniu.⁸

W najnowszym wydaniu (kolejnym dodruku?) *Ksiąg Jakubowych*, za cichym przyzwoleniem konsultanta historycznego, zostały też powtórzone inne bałamuctwa, o których już kiedyś wspominałem.⁹ Redaktorzy wmawiają naiwnym czytelnikom, że to autorka zmieniła nazwę rzeki opływającej Kamieniec Podolski (sfeminizowała ją, Smotrycz nazwała „Smotryczą”), Pobuże przeniosła na Podole, a meczet przezwala minaretem. I opisała taką scenę. Latem 1756 roku bohaterowie powieści, Nachman, Jakub i Szlomo Szor znaleźli się w Kamieńcu Podolskim:

Stoją teraz we trzech przy kamienieckiej katedrze Piotra i Pawła, w sporym tłumku [sic!], który z przejęciem komentuje ustawianie posągu na wysokiej kolumnie [sic!]. Wydarzenie to ściągnęło wszystkich z okolicznych wiosek oraz z bliższych i dalszych uliczek, a także klientów kramów na rynku; nawet księża wyszli popatrzeć [dziwne byłoby to, gdyby nie przyszli, dla nich to był obowiązek - przyp. A.W.], jak drewniany dźwig podnosi złotą figurę. [...] Tłumek [sic!] cofa się nieco. Pracują jacyś obcy robotnicy, a ludzie szepczą, że to z Gdańska, że cała figura odlana została w Gdańsku, pokryta grubo złotem i przez cały miesiąc wieźli ją tutaj na podwodach. Samą zaś kolumnę [sic!] zbudowali jeszcze Turcy i przez lata był tam ich półksiężyc, bo stanowiła ona część minaretu [sic!], w jaki zamienili, bezbożni katedrę. Lecz teraz Panna Najświętsza wróciła i będzie górowała nad miastem i głowami jego mieszkańców (s. 608-607).

Aż trudno uwierzyć, że w kilku zdaniach można pomieścić tyle nieścisłości. A wystarczyło zacytować jedno zdanie z rozprawy Michała Rollego:

Na pamiątkę odebrania Kamieńca, ustawił biskup Mikołaj Dembowski na szczycie minaretu, na zachowanym tureckim półksiężycu, odlany w Gdańsku ze spiżu posąg Matki

Pomylić minaret z meczetem to nie mała sztuka redaktorska, jeszcze większa – powtarzać błąd w kilku wydaniach powieści. Kiedy w 1672 roku Turcy zdobyli Podole, kamieniecką katedrę pw. św. św. Piotra i Pawła zamienili na meczet sułtański, a na fundamentach zburzonej kaplicy zbudowali wysoki (36,5 m) minaret. Po 27 latach dopiero wrócił Kamieniec w granice Rzeczypospolitej. Półksiężyc pozostał na minarecie na prośbę okupantów opuszczających miasto. Kilkadziesiąt lat później, w 1756 roku, stanęła tam, odlana w protestanckim Gdańsku, figura Matki Boskiej. Na fundamencie kaplicy stanął minaret, a na minarecie zwieńczonym półksiężycem stoi dotąd statua NMP. Jerzy Stempowski napisał w 1963 roku do Marii Czapskiej: „Zdaje mi się, że nigdzie indziej nie ma takiego nawarstwienia wieków i symbiozy wiar w jednym budynku”. **11**

Bez zmian powtórzone zostało jeszcze jedno wzmówienie w powieści. Opowiadał Jakub o Mikołaju Radziwille, który popisywał się znajomością wielu języków, biegle pisał też i czytał po hebrajsku:

Powiedział też, że już by oficjalnie przeszedł na żydowską religię, gdyby nie to, że się boi. „W Wilnie – rzekł – równe dziesięć lat temu spalono na stosie takiego apostata. Był to

niemądry Walenty Potocki, który w Amsterdamie w dobrej wierze przystąpił z całym sercem do religii mojżeszowej i nie chciał po powrocie do Polski wrócić na łono Kościoła.

Poddali go torturom i w końcu spalili. Sam widziałem jego grob w Wilnie. Widziałem, że Żydzi go czcią otaczali, ale życia mu nikt nie wróci". „Na nic się on nam nie przyda” – powiedział po jego wyjściu Jakub. Przeciągnął się tylko i głośno ziewnął (s. 379).

Swoim bohaterom kazała autorka rozprawiać o zmyślnym tyle lat później rzekomym apostacie. Józef Ignacy Kraszewski wspomniał o nim w 1841 roku, w 3. tomie historii Wilna¹², a w powieści Marcin Mikołaj Radziwiłł zapewniał, że widział jego grób.

Mogłaby autorka (redaktorzy też) przestudiować szkice prof. Janusza Tazbira o wymyślnym w XIX wieku męczenniku¹³, a nie powtarzać w nieskończoność wersji powieściowego bohatera. W wywiadzie (ogłoszonym już po śmierci profesora) Tazbir tłumaczył po raz któryś:

Ten Potocki doczekał się już sztuk teatralnych, powieści i noweli, a jeżeli weźmie się do ręki dowolną starszą encyklopedię żydowską, to łącznie z pracą Mariana Fuksa o wybitnych Polakach, którzy przeszli na judaizm, figuruje tam

ten Potocki nieszczęsny, który w życiu nie istniał. 14

Tekst ukazał się na łamach londyńskiego PAMIĘTNIKA LITERACKIEGO, czerwiec 2022 r. (tom 63).

*

**Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe*, Krakow 2022,
Wydawnictwo Literackie, s. 903.**



*

Dr Adam Wierciński, literaturoznawca, krytyk, eseista, publicysta, nieustrudzenie upominający się o czystość języka polskiego i pamięć dla literatury. Autor m.in.: „Przywracanie pamięci” (1997), „O nijaczeniu języka” (2004), „Dyskretny erudyta” (2018).

*

1. *Przyznał życzliwy krytyk: „Lektura całości nie była mordęgą, ale też nic by się nie stało, gdyby książka była o 1/3 krotsza, bardziej zwarta, oskubana z wątków pobocznych i językowo bardziej dopracowana” (Piotr Paziński, *Głowy z przedawnienia się*, „Lampa” 2014, nr 9-10, s. 18-19).*

2. *Olga Tokarczuk, *Księgi Jakubowe*, [nowe wydanie? kolejny dodruk?], Kraków 2022, Wydawnictwo Literackie, s. 841, 838.*

3. *Piotr Paziński, dz. cyt., s. 17.*

4. *Zob. Michał Nogaś, *41 godzin z Jakubem*, „Gazeta Wyborcza” 2020, nr 77, s. 17.*

5. Piotr Kofta, *Jest Nobel, a nawet dwa*, „Dziennik Gazeta Prawna” 2029, nr 198, s. A11. Przypominał Adam Poprawa: „Na przykład Przemysław Czapliński przedstawił nie tak dawno tomiszczce Olgi Tokarczuk *Księgi Jakubowe* jako wielką antysienkiewiczowską koncepcję – tak, jakby nie było wcześniej Mrożka, Miłosza ani jeszcze starszego Brzozowskiego (ktorego recepcja zachowała przecież wielokierunkową polemiczną żywotność)” (Adam Poprawa, *Pocałunkow? Schodow?Książek?*, „Nowa Dekada Krakowska” 2016, nr 3, s. 112).
6. Stanisław Lem, *Obrona Sienkiewicza*, „Tygodnik Powszechny” 1996, nr 13, s. 6.
7. Paweł Jasienica, *Rzeczpospolita Obojga Narodow. Część pierwsza: Srebrny wiek*, wyd. 2, Warszawa 1982, s. 211-212.
8. Janusz Tazbir, *Pisma wybrane, t. 3: Sarmaci i świat*, Krakow 2001, s. 209, 210.
9. Zob. *Bałamutne opowieści w powieści*, „Pamiętnik Literacki” [Londyn] 2016, t. LII, s. 119-122; *Za szybkie pisanie (58)*, „Indeks” [Opole] 2019, nr 9-10, s. 62-63.
10. Michał Rolle, *Rzemiennym dyszłem*, Lwow 1914, s. 17-18.
11. Jerzy Stempowski, *Listy*, wybór i redakcja Barbara

Toruńczyk, Warszawa 2000, s. 31.

12. Janusz Tazbir, *Męczennik, który nie istniał. Walenty Potocki*, [w:] tenże, *Polacy na Kremlu i inne historyje*, Warszawa 2005, s. 200. Tazbir przypomniał też, że Rita Fink trafiła na wzmiankę o tej legendzie, ogłoszoną już w 1822 roku w londyńskim czasopiśmie „The Jewish Expositor and Friend of Israel” (tamże, s. 200).

13. Janusz Tazbir, *Magnat spalony za przejście na judaizm*, [w:] tenże, *Cudzym piorem... Falsyfikaty historyczno-literackie*, Poznań 2002, s. 84–92. Przedruk: Janusz Tazbir, *Magnat spalony za przejście na judaizm*, [w:] tenże, *Od Sasa do lasa*, Warszawa 2011, s. 163–174.

14. *Polskie miody z łyżką dziegciu. Z Januszem Tazbirem rozmawia Sergiusz Sterna-Wachowiak. Część II*, „Odra” 2017, nr 9, s. 25.